TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 13. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 12/24 grudnia 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Jan Feliks Piwarski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Czytelnikom „Tygodnika Illustrowanego“ na gwiazdkę. Światowid, poezya (z drzeworytem). — Sala narożna w hotelu Europejskim w Warszawie (z drzeworytem). — Kaplica św. Krzyża z Grobem św. w Zgorzelicach (Görlitz) (z drzeworytem).—Astry, rysunek z pamięci przez Ludwika Brzozowskiego. Korrespondencya od redakcyi. — Uniwersytet w Dorpacie (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Jan Feliks Piwarski.

(*Wspomnienie pośmiertne.*)

Starajmyż się, ponieważ musi zniszczéć ciało,
Aby imię przynajmniéj po nas tu zostało.

(*Jan Kochanowski* w pieśniach.)

Zaledwo pismo nasze piérwsze postawiło kroki na trudnéj drodze dziennikarskiéj, a już podobało się Bogu ciężką, bolesną dotknąć nas stratą. Jan Feliks Piwarski, zacny i czcigodny kierownik części artystycznéj „Tygodnika Illustrowanego,“ w dniu 17 b. m. i r., po 30-godzinnéj chorobie, zakończył żywot pełen pracy i zasługi. Nie będziemy się tu rozwodzić nad tém, jakiego osobiście straciliśmy przyjaciela i współpracownika, jak zmarły odpowiedzieć umiał stanowisku, które w piśmie naszém zajmował: zrozumieją to wszyscy, którym wiadomo jakiém poważaniem synowskiém, jaką czcią nieograniczoną, jaką wreszcie miłością całe młodsze pokolenie naszych malarzy otaczało szanownego nauczyciela i patryarchę swojego. Uczucia indywidualne niknąć powinny i nikną w obec straty, którą przez śmierć ś. p. Piwarskiego kraj cały ponosi. Ten żywot pracy użytecznéj i poczciwéj, pełen poświęcenia i gorzkich nieraz zawodów, postawić można za wzór prawego, objawianego czynem obywatelstwa, jakiego niewiele już teraz znajdujemy przykładów.

Zanim przebieżemy pokrótce zawód jego urzędowy i wymienimy ważniejsze jego prące artystyczne i naukowe, niechaj nam wolno będzie w kilku rysach charakterystycznych uczcić zacnego człowieka, a szczególniéj przewodnika młodzieży. Zmarły całą duszą, całém sercem oddany był sztuce, którą obrał za gwiazdę przewodnią swego życia. W młodym bardzo wieku rozpocząwszy prace nauczycielskie przy różnych zakładach naukowych, odtąd jeden cel tylko nieodmiennie miał przed oczyma: kształcenie młodzieży malarskiéj, w kierunku jaki dla kraju uważał za najpożyteczniejszy, i dążył do tego celu z wytężeniem wszystkich sił swoich, na drodze pracy cichéj, lecz wytrwałéj i niezmordowanéj. Nikt téż nad ś. p. Piwarskiego nie mógł być stosowniejszym na kierownika młodych adeptów sztuki. Gruntowny znawca wszystkich gałęzi malarstwa, biegły estetyk, wytrawny sędzia w rzeczach techniki i smaku, łączył on z temi przymiotami nieporównaną słodycz, pobłażliwość i delikatność, niezakłóconą niczém pogodę umysłu i miłość bez granic dla młodzieży, która miłością téż odpłacała się szanownemu przewodnikowi swojemu. Któż z jego uczniów lub przyjaciół nie pamięta téj twarzy szlachetnéj, szczeropolskiéj, tak wyrazistéj, a pełnéj jednak łagodności i niewysłowionéj dobroci, tych gęstych brwi, ocieniających oko bystre i rozumne, tego czoła, z którego świecił blask poczciwości?... Zaprawdę, jeżeli o kim, to o nieodżałowanym Piwarskim naszym powiedzieć można bez przesady, że nie miał żadnego nieprzyjaciela, że dosyć było poznać go choć zdaleka, żeby pokochać szczerze i od razu. To téż młodzież czciła go jak ojca, widząc w nim nietylko gorliwego o dobro swe

JAN FELIKS PIWARSKI.

przewodnika na drodze sztuki, ale opiekuna i doradzcę w każdéj życia przygodzie.

Niezapomniane dla wszystkich są owe wycieczki artystyczne, które ś. p. Piwarski, będąc jeszcze professorem szkoły sztuk pięknych, przedsiębrał z młodymi jéj wychowańcami w przyległe naszemu miastu okolice. Otoczony gronem kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu uczniów, szanowny nauczyciel przewodniczył im ku miejscom najwłaściwszym dla studyów z natury, obierał punkta i sadowił każdego stosownie do potrzeby; obchodząc potém kolejno wszystkich, zaglądał do rysunków, wskazywał błędy, zachęcał, radził, poprawiał, i nareszcie, dobywszy sam książkę szkicową, siadał gdzie na uboczu, pracując razem z młodzieżą. Powrót z takich przechadzek bywał zwykle huczną ożywiony wesołością: uczniowie śpiewali piosnki na cześć uwielbianego nauczyciela, których sami byli i autorami i kompozytorami, a przy końcu każdéj wrotki czapki leciały w górę i z piersi tych, kipiących ogniem młodości, rozlegał się chórem okrzyk: „*Vivat! nasz pan professor!!!*—Przytaczamy tu ustęp z takiéj piosnki, nacechowany junacką trochę lecz poczciwą jędrnością, udzielony nam przez jednego z ulubionych uczniów zgasłego:

„Gdy ołówki i wiszory
Nie zrównają czuciom twoim,
Chwyć penzelki i kolory,
A naturze kurtę skroim.
Jest chłop z ciebie tęgi, dziarski,
Tak ci powié pan Piwarski!“

Rubaszne te, a nawet trywialne nieco słowa, doskonale jednak malują stosunek młodzieży do czcigodnego professora, którego pochwała najwyższą dla niéj była nagrodą.

Gdy wysłużywszy całkowitą emeryturę, przestał już być czynnym jako nauczyciel szkół publicznych, nie zaniechał jednak pracy około kształcenia młodzieży: otworzył we własném pomieszkaniu salę rysunkową i tam gromadził uczniów pragnących za małą opłatą, a często i bezpłatnie, korzystać z doświadczenia jego i nauki. Serdeczny i wymowny obraz tych posiedzeń artystycznych skréślił zmarły zawcześnie dla piśmiennictwa ojczystego ś. p. Władysław Wieczorkowski, uczeń także Piwarskiego, w Nr. 47 „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych“ z r. 1856. Wypisujemy tu wyjątek z téj pracy, dla poparcia słów naszych i na dowód z jakiém współczuciem, z jaką miłością młodzi malarze, wszyscy bez wyjątku, lgnęli do sędziwego professora.

„Wśród najrozmaitszego rodzaju zajęć, mówi autor artykułu, znalazł zawsze Piwarski parę godzin, które ze szczerą a serdeczną chęcią poświęcał pragnącéj się kształcić młodzieży. I tak się to działo nie rok, nie dwa, ale przez całe życie Piwarskiego: to téż każden młody pracownik w sztuce przeszedł pewno przez jego szkołę.

„Pamiętamy jak przed kilką laty otworzył u siebie Piwarski salę rysunkową. Schodziła się młodzież dwa razy na tydzień i pracowała po trzy godziny. Wszyscy

zajęci byli żywo swoim przedmiotem, bo Piwarski umiał zachęcić i najleniwszego. Jedni rysowali z wzorów, drudzy z gipsów, inni znowu z prześlicznych akwareli Piwarskiego i pejzażowych jego szkiców; więcéj uzdolnieni kopiowali z olejnych obrazów, lub téż odtwarzali na większą skalę drobne swoje szkice podróżne. Na każdéj twarzy panowało zajęcie, a trzygodzinny termin przedłużał się prawie zawsze jeszcze o jednę godzinę. Piwarski przechadzał się pomiędzy uczniami, żadnego z oka nie spuszczając: temu rzucił słówko zachęty, tam sprostował rys nieśmiały i nieudatny, i zaraz wyłożył na prędce główne zasady i proporcye głów i figur ludzkich; czasami zasiadał przy stalugach lub akwarelowym reisbrecie i kończył jaką cząstkę pejzażu, która potém służyła na długi czas za wzór dla ucznia; czasami znów, gdy już wykończona była robota, i kiedy uczeń nic w niéj nie potrafił już ani dodać, ani ująć, wtedy przychodził Piwarski i śmiałemi rzutami penzla harmonizował rozrzucone części obrazu. Piwarski był wtedy mistrzem, w całém znaczeniu tego wyrazu. A z jaką to chęcią, cierpliwością i sumiennością wywiązywał się z podjętego obowiązku, o tém niech zaświadczą wszyscy jego uczniowie. My tu od siebie wspomnimy, że nie znaliśmy nigdy professora, któryby więcéj odpowiadał powołaniu swemu, jak Piwarski. Nie miniemy się z prawdą, jeśli powiemy że Piwarski nietylko wszystką swą naukę, ale nawet ducha swojego i całe swe uczucie artystyczne, wszystko to pragnął w jednéj chwili tchnąć w swojego ucznia.

„Z taką szlachetną, pełną poświęcenia postacią trudno się dziś gdzie spotkać; więc tém wyżéj cenimy zasługi Piwarskiego, zasługi które położył nie na tém jedném tylko polu, a cośmy tu powiedzieli, jest jeno bladém odbiciem téj szczeréj wdzięczności, jaką serca wszystkich jego uczniów są przepełnione.“

Na tych słowach, tchnących prawdą i uczuciem, kończymy charakterystykę Piwarskiego jako człowieka i nauczyciela, a przechodzimy do szczegółów jego życia i zawodu publicznego.

Jan Feliks Piwarski urodził się d. 20 listopada 1794 r. w b. województwie lubelskiém. Ukończywszy nauki szkolne w Galicyi, kształcił się początkowo w sztuce pod kierunkiem Richtera, znakomitego wtedy artysty. Służbę rządową rozpoczął w r. 1816, jako kancellista w biurze kommissyi sprawiedliwości. Ówczesny prezes senatu i minister oświecenia, Stanisław Potocki, oraz minister stanu Stanisław Staszic ocenili wkrótce zdolność i gorliwość młodego pracownika, i skutkiem tego już w roku 1818 mianowany został konserwatorem gabinetu rycin przy publicznéj bibliotece warszawskiéj, któréj był zarazem sekretarzem. Znakomity ten gabinet, utworzony głównie z darów króla Stanisława Augusta i ministra Stanisława Potockiego, ś. p. Piwarski własnoręcznie urządził i uporządkował, a obok tego, wspólnie z Adryanem Krzyżanowskim, Linde'm, Brodzińskim i wielą innymi, był współpracownikiem „Gazety literackiej“, pisując do niéj artykuły o rytownictwie. W tym także czasie, kosztem skarbowym, odbył podróż do Wiednia, dla obejrzenia tamecznych gabinetów i studyowania historyi sztuk pięknych, któréj katedrę objąć miał przy b. uniwersytecie warszawskim; utworzenie jednak téj katedry, skutkiem śmierci ministra Potockiego w r. 1821, nie przyszło do skutku. Wezwany do udziału w wydawnictwie dzieła pod tytułem „Monumenta regum Poloniae cracoviensia,“ zajmował się pracą i korrespondencyą przedmiotu tego dotyczącą, od r. 1820 aż do końca 1830. Niezawiśle od posady sekretarza biblioteki i konserwatora rycin, pełnił nadto obowiązki starszego nauczyciela rysunków w b. szkole przygotowawczéj do instytutu politechnicznego, gdzie przysposobił wielu zdolnych uczniów, w rysunkach zwłaszcza technicznych, zastosowanych do budownictwa, kunsztów i t. p. Przy odbywaném śledztwie dla wykrycia fałszerzy dowodów likwidacyjnych na dostawę różnych dla wojska potrzeb i roszczonych ztąd znakomitych do skarbu pretensyj, na żądanie władzy, jako urzędnik uznanéj powszechnie prawości i sumienności, roztrząsał i sprawdzał fałszywe podpisy i dokumenta. Czynność ta trwała pięć lat, to jest od 1827 do 1832 roku, i skończyła się ze znakomitą dla skarbu korzyścią, ponieważ skutkiem takowéj usunięto podrobionych pretensyj na blizko 2,000,000 złotych.

Po roku 1831, przy reorganizacyi szkół w królestwie polskiém, otrzymał posadę starszego nauczyciela w gimnazyum gubernialném warszawskiém, oraz członka komitetu egzaminacyjnego, a nadto, na własne żądanie, wykładał bezpłatnie przez dwa lata naukę rysunków technicznych w b. kursach dodatkowych dla przygotowania kandydatów do stanu nauczycielskiego. W r. 1840, z rozporządzenia władzy, przeniesiony został do gimnazyum realnego i zarazem mianowany nauczycielem rysunków w instytucie Aleksandryńskim wychowania panien. Niezależnie od tych obowiązków, przeznaczony r. 1844 na nauczyciela malowania pejzażów w warszawskiéj szkole sztuk pięknych, w któréj urządzeniu czynny także wziął udział, wykładał przedmiot ten gorliwie aż do końca października 1848 r., to jest do chwili zupełnego wyjścia ze służby, po otrzymaniu całkowitéj emerytury. Roku 1842 towarzystwo naukowe krakowskie, w uznaniu jego zasług, wezwało go do grona swoich członków korrespondentów.

W ciągu pracowitego żywota swego ś. p. Piwarski wykonał wiele bardzo dzieł znakomitych i pomniejszych, których szczegółowe wymienienie i ocenienie zostawiamy znawcom specyalnym. Nieprzeliczone mnóstwo rysunków i kompozycyj ołówkiem, kredą, piórem, sepią, tuszem, akwarellą i gwaszem, któremi to sposobami obrabiał każdy niemal rodzaj rysunku, a mianowicie: portrety, sceny i typy ludowe, krajobrazy, architekturę i perspektywę, świadczy o żelaznéj pracy i wszechstronném wykształceniu nieodżałowanego artysty naszego. Malował także olejno i rytował na miedzi; lecz największe podobno zasługi położył dla litografii krajowéj, którą on jeden z piérwszych u nas upowszechniał i doskonalił, niezrażony przeciwnościami, chociaż, dla braku zdolnych drukarzy, nieraz po kilka razy prace swe przerabiać był zmuszony. Niektóre z dzieł jego we wszystkich tych rodzajach wyliczamy, o ile zdołaliśmy o nich zasięgnąć wiadomości.

Jeszcze w r. 1819, w czasie podróży swéj do Wiednia, wykonał tam z powodzeniem kilka sztychów na miedzi, podług Schmidta. Po powrocie do kraju, przez czas jakiś zajmował się najwięcéj świéżo wtedy wynalezioną sztuką litograficzną. Z prac jego na kamieniu w téj epoce, piérwsze próby, jak: Ecce homo, podług Guido Reni, wizerunki Jana III, Stefana Batorego i t. p., odbito w litografii założonéj przez Siestrzyńskiego przy warszawskim instytucie głuchoniemych, z dokładnością nic prawie nie zostawiającą do życzenia; dalsze, jak: portrety Jana Zamojskiego, Euzabiusza Słowackiego, Łukasza Gołębiowskiego, generała Stan. Mokronowskiego, Szaniawskiego, Franciszka Zeltnera adjutanta Kościuszki, Kopernika, Białoskórskiego, swój własny na cynku i wiele innych, oraz wizerunki pięciu jeszcze królów podług Bacciarellego, odbijał częścią w litografii szkolnéj, częścią u Letronne'a, Bułakowskiego i w Banku polskim. W tym także peryodzie, wspólnie z Jakubem Sokołowskim, Stachowiczem i Dietrichem ojcem, krzątał się około wydawnictwa „Monumentów“ krakowskich, do któréj to pracy, jak wspomnieliśmy, wezwany został w r. 1820.

Z innych dzieł Piwarskiego pamiętamy: Wnętrze głównéj sali biblioteki publicznéj w Warszawie, prześliczny obraz perspektywiczny akwarellą, ożywiony osobami portretowanemi.— Część Bielan w czasie Zielonych świątek i puszczę białowieżską, gwaszem.—Widok wewnętrzny ogrodu puławskiego, malowidło znacznych rozmiarów *en guache.* — Z obrazów olejnych: Wnętrze lasu,—Powrót z jarmarku,—Krajobraz wiejski, — Krówkę w oborze, dojoną przez dziewczynę i t. p., nie licząc płócian podmalowanych.—Z widoków litograficznych: Miasto Kaźmirz, — Ratusz w Kaźmirzu, — Ogród botaniczny w Krakowie i kilka innych. Oprócz tego wykonał mnóstwo kompozycyj do albumów artystycznych, ornamentów i kostiumów, wiele miniatur na kości i portretów akwarellą na bristolu i papierze.

Zbiorowo wypracował: Znaki i medale nagrodowe w Polsce, dzieło znakomite pod względem sumienności i dokładności wykończenia, na szarym papiérze *en guache* kolorami, do którego opis dorobił Feliks Bentkowski.—Rysunki na blasze, kamieniu i cynku do różnych dziei, jak: Pamiątka po dobréj matce Klementyny Tańskiéj, Opis Syberyi Kobyłeckiego, Pieśni ludu Wójcickiego, Słownik malarzów polskich Rastawieckiego i t. p. — Sceny i zdarzenia miejscowe, mające związek z historyą kraju, sześć tablic na miedzi, *aqua tinta.*—Arsenał warszawski, w cztérech tablicach, starannie illuminowych, z ozdobną okładką. — Nakoniec w nowszych już czasach ogłosił na przedpłatę i wydał: „Album cynkograficzne, w 12 tablicach,“ —„Kram malowniczy warszawski,“ w 24 tablicach i „Galeryą królów polskich“ podług Bacciarellego, któréj wyszło dotąd 6 numerów, a 8 przygotowanych jest do druku, wszystko to w pokroju arkuszowym, z artystycznie wykonanemi okładkami, własnoręczną pracą i nakładem autora.

Z przepysznych plansz rytowanych ś. p. Piwarskiego znamy następujące: Pomnik Kopernika *aqua tinta*, kolorowany, zrobiony z polecenia b. towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. — Pomnik Krzysztofa Szydłowieckiego w kollegiacie opatowskiéj, na miedzi, do dzieła „Liber Geneseos Illustr. familiae Schidloviciae,“ wydanego nakładem Tytusa hr. Działyńskiego.—Wizerunki: ks. arcybiskupa Woronicza, ks. biskupa Prospera Burzyńskiego i Abrahama Sterna, wynalazcy machiny rachunkowéj, członka warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, (ostatni w „Kramie malowniczym“).

Obok tych prac artystycznych, ś. p. Piwarski napisał z polecenia władzy i wydał dla użytku szkół publicznych dzieło znakomitéj wartości, p. t. „Wzory i nauka rysunku,“ którego dwa działy, każdy w cztérech częściach, ukazały się w druku, trzeci zaś i ostatni pozostał w materyałach. Przedmiot ten, poraz piérwszy przez niego w piśmiennictwie polskiém dotknięty, obrobiony jest gruntownie, jasno i praktycznie, pomimo wielkich trudności jakich autor doznawał pod względem szczególniéj nomenklatury, którą tworzyć i naginać dopiéro musiał do potrzeb naszego języka.

Taki ogrom prac różnorodnych najwymowniéj świadczy o niezmordowanéj, wszechstronnéj działalności nieodżałowanego professora. Ś. p. Piwarski był artystą czysto polskim, w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu. Za granicą mało przebywał, nie kształcił się, jak inni, we Włoszech, lecz na żywiołach wyłącznie krajowych, i wszystko, rzec można, winien był sam sobie. To téż z upodobaniem zawsze wracał do postaci i typów ludowych, do scen i uroczystości barwy miejscowéj, które przedstawiać umiał z talentem sobie tylko właściwym, pełnym prawdy, jędrności i swojskiego nieraz dowcipu. Podniesienie sztuki krajowéj przez własne prace i kształcenie młodzieży, było głównym celem jego życia. Z jakąż chlubą i radością lubił on wspominać o swojém „Album cynkograficznem,“ że wydał je środkami czysto miejscowemi: na cynku krajowym, na papierze z Jeziorny, w zakładzie Banku polskiego i używając nawet drukarza Polaka, tak iż nikt obcy ręką go nie dotknął! A jednak łatwiéj nierównie i dogodniéj mógł zrobić to samo na bawarskim kamieniu litograficznym i na francuzkim papierze.

W podeszłym będąc już wieku, lecz krzepki na ciele i umyśle, nie ustawał w pracy i przed kilką jeszcze miesiącami podjął się kierownictwa części artystycznéj naszego „Tygodnika,“ wspierając nas z gorliwością bez granic doświadczeniem swém, radą i czynem. Śmierć zaskoczyła go na wyłomie, przy kompozycyi, jaką z wytężeniem sił starganych długoletnią i mozolną pracą, własnoręcznie na drzewie dla pisma naszego wykonywał. W zeszły wtorek ta młodzież, dla któréj zgasły całe swe życie poświęcił, dziś już w dojrzałych wyrosła mężów, razem z nami na barkach swych poniosła go do grobu. *Pokój cieniom sprawiedliwego!*

Ludwik Jenike.

Kronika tygodniowa.

Pod smutném wrażeniem rozpoczynamy dzisiejszą kronikę. W ten sam dzień, w tęż samę chwilę właśnie, w któréj zeszłotygodniowy numer naszego pisma wychodził z pod prassy, skończył doczesny żywot dyrektor części artystycznéj Tygodnika, a kochany i szanowany przez nas wszystkich, niegdyś nasz przewodnik, dziś towarzysz trudów, professor Jan Piwarski, którego portret z życiorysem na czele dzisiejszego numeru umieszczamy. Zwykle dojrzały i uznany talent, jako drzewo rozrosłe już w całéj pełni swojéj, rzuca cień na młode pokolenia; on zaś usuwał się od słońca, starając się owszém zostawić w całym blasku tych, którzy pod jego wzrastali opieką.

A teraz trzeba nam porzucić te żałobne myśli i ku

zwyczajnym dziennym zwrócić się sprawom, bo na nas czeka ruch świąteczny w całym gwarze swoim. Witaj nam więc, epoko ryb, pierników, bakalij i zabawek dziecinnych, witaj tygodniu szeleszczący orzechami, pozłocony miodem, a ubielony od strucli i opłatków! Tyś wielkim moralistą, bo w nędznéj szopce, sklecónéj z kilku kawałków tektury kolorowym połączonych papiérem, pokazujesz nam jasełka, nam, cośmy je z rozmaitém szczęściem przez cały rok ubiegły na scenie świata odgrywali; tyś niemałym rozrzutnikiem, bo z sakwą pełną pieniędzy chodzisz po sklepach, zakupując rozliczne fatałaszki i świecidełka dla dziatwy, która cię z niecierpliwością oczekuje; tyś prawdziwym dobroczyńcą ludzkości, bo przez łamanie się chlebem powszednim, zacierasz nieprzyjaźnie i dobrą myśl wlewasz w serca. Bywajże nam, bywaj, szczęsna chwilo wesołych kolend i uczt rodzinnych, kiedy po staropolskim zwyczaju pan z czeladzią dzieli się domowym dobytkiem, na jaki kogo stać. Ty, dniu wesela i radości, łączysz naród cały jedném ogniwem uroczystego obchodu i uświęcenia zwyczaju przodków, ty wiążesz przeszłość z teraźniejszością i odwzorowywasz nam choć na kilka godzin dawne błogie chwile, minione już niestety! *Kolędujmyż więc małemu*, który w żłobie ukazał się biédzie i nędzy ludzkiéj, my wszyscy co się skarżymy że nam niebo szczęsnych dni uskąpiło; — a może ta gwiazda o jasnym promieniu, która weszła na przepowiednię odrodzenia ludzkości, i nam, tak żądnym ożywczych jéj promieni, błogą przyszłość zwiastuje. Dawne to przysłowie polskie: „Więcéj ma Bóg, niźli rozdał.“

W teatrze Rozmaitości mieliśmy kilka dni temu nowoprzedstawioną jednoaktową sztuczkę, pod tytułem „Układy.“ Na te *układy* czekaliśmy przeszło cztéry tygodnie; dziś, kiedy już nareszcie przyszły do skutku, spodziewamy się że przecież rzeczy lepiéj się *ułożą* i częściéj z czerwonym afiszem będziemy mogli się spotkać. O tych „Układach“ niewiele jest doprawdy do powiedzenia; stare to i dobrze już znane dzieje rodziców, którzy ułożyli pomiędzy sobą małżeństwo, i dzieci, które nie chcą przystać na ten swój związek narzucony. Ten oklepany temat ożywiła wdzięczna i żywa gra pani Bakałowiczowéj i dobre oddanie przez pana Stolpego charakteru młodego trzpiota paryzkiego. Ale co nam po takich miejscowych sztukach, gdzie choćbyś szukał z latarnią, nie doszukasz się podobieństwa z naszemi typami. Niéma to ani scenicznéj, ani obyczajowéj zasługi, a w wyborze sztuczek z obcych języków tłumaczonych (kiedy już oryginalnych trudno się doczekać) chociaż jeden z tych trzech warunków koniecznie zachowaćby należało.

Pułki księgarzów naszych zawalone teraz książkami na gwiazdkę i wszelkiego rodzaju illustrowanemi i nieillustrowanemi dziełkami, dla użytku i zabawy dzieci. Ale pomiędzy tém mnóstwem, bardzo mało wydań miejscowych, a te które się znajdą, pochodzą po największéj części z kontyngensu lat dawnych, z przedrukowanym tytułem i w odświeżonéj sukience. Ten rodzaj literatury za granicą bardzo jest ożywiony; znajduje się tam wielu autorów i autorek specyalnie dla dzieci piszących. U nas, po śmierci nieodżałowanego Jachowicza, bardzo mało kto chce i może podjąć się téj pracy, tak łatwéj z pozoru, ale w gruncie rzeczy niemałe nastręczającéj trudności i wymagającéj dokładnego poznania charakteru i usposobienia tych drobnych istot, oraz umiejętnego zastosowania się do ich pojęcia. Z pomiędzy kilku nazwisk wymienić nam tu należy pana Rodziszewskiego, jako najwięcéj w téj sprawie gorliwego. Żałujemy że pani Kraków, która wydaniem kilku moralnych i zajmujących książek wysokie położyła zasługi w dziecinnéj literaturze, od pewnego czasu mniéj pochopnie jakoś bierze się do pióra. Znane pismo zbiorowe panny Śmigielskiéj przestało już istnieć; za to pocieszającą jest rzeczą, że „Rozrywki dla młodocianego wieku,“ redagowane przez panią Pruszakową, będą daléj wychodzić w księgarni nakładowéj p. Gebethnera i spół. Pani Pruszakowa tą publikacyą wielkie już położyła zasługi; umiejętny wybór artykułów tam zamieszczanych, dowodzi wybornego zrozumienia potrzeb młodocianego wieku. Niechby tylko publiczność chciała skwapliwiéj aniżeli dotąd popierać tego rodzaju przedsięwzięcia.

Nie skończyliśmy jeszcze z nowemi wynalazkami, w które koniec bieżącego roku tak obfituje. Oto jakiś pan na ulicy Żabiéj, wynalazł nową siłę poruszającą zamiast pary; indziéj znowu, a niedaleko nas, jak to ogłaszały dzienniki, nad podobnym pracują wynalazkiem i cała rzecz zasadza się na tém, że w jakimś samochodzie środek ciężkości, nieumieszczony w środku ciężkości, zmuszony tym sposobem szukać sobie coraz nowego środka ciężkości, porusza wszystko z miejsca. Wszak to jasne? kochani czytelnicy; zrozumieliście od razu, nie będę więc wam daléj tłumaczył. Zamilczę o zażartéj wojnie, toczonéj od pewnego czasu w „Kuryerze Warszawskim“ o kwestyą czy istnieją albo nie perły krajowe. Gdybym chciał być niedyskretnym, piękne czytelniczki, radziłbym tych pereł szukać u dentystów, co mają do czynienia z waszemi ząbkami. Nie będę także wspominał o wynalazku Liebiega, za pomocą którego cygara pruskie przerobią się w hawańskie, chociaż wynalazek ten uważam za ważniejszy jeszcze aniżeli go ogłoszono; bo ponieważ w Prusiech największą część cygar z liścia burakowego i kapuścianego kręcą, nie idzie tu zatém o przemienienie tytuniu pruskiego na amerykański, ale o przekształcenie buraków i kapusty na tytuń, co już wydaje mi się trochę trudniejszém zadaniem. Muszę jednak zwrócić uwagę czytelników na ważne odkrycie doktora francuzkiego Velpeau. Doszedł on, że osoba wpatrująca się przez pewien czas z natężoną uwagą w jaki przedmiot błyszczący, o kilkanaście centymetrów od oczu jéj umieszczony, z początku zaczyna zézować, następnie dostaje pewnego rodzaju obłędu, aż nareszcie wpada w stan kataleptyczny nieczułości zupełnéj, tak iż w tym stanie może podledz najboleśniejszéj operacyi, bez doświadczania bólu. Owóż muszę wyznać, że to niby nowe odkrycie dawno już nam było znajome. Któż nie wié że na przedmioty błyszczące, niebezpiecznie jest zapatrywać się, zwłaszcza jeżeli nie są w naszém posiadaniu? Wieleć to osób patrzy zyzem na złoto znajdujące się w kieszeni sąsiada? Wieleż to kobiét dostaje obłędu mózgowego, przypatrując się dyamentom zdobiącym ich towarzyszki, albo téż pragnąc posiąść te błyszczące fraszki, chociażby jaką wielką ze swojéj strony ofiarą? Iluż to zresztą ludzi wpada w zupełny stan nieczułości, kiedy idzie o zyskanie jakimbądź sposobem najmarniejszych błyskotek, na których czele, jak z natury rzeczy wypada, stoją pieniądze? Tacy poszukiwacze dostatków i ozdób, poddają się często najbolesniejszym operacyom i nie czują bólu, byleby osiągnąć cel pożądany. Więc, podług nas, pan Velpeau nic nowego nie wynalazł, i odkrycie jego dawno już praktykowane było na wielką skalę, nawet przez takich, którzy nie mają wcale pretensyi do uczoności.

CZYTELNIKOM

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

NA GWIAZDKĘ.

W chwili, gdy wszyscy felietoniści europejskiéj prassy peryodycznéj i dziennikarskiéj, podnoszą wymowne głosy, i podobni jarmarcznym faktorom, wychwalają towary zgromadzone na bufetach i w kramach rozmaitych stolic i stoliczek chrześciańskiego świata; w chwili, gdy mieszkańcy Warszawy, zapomniawszy o codziennych kłopotach, ścigają myślą pożądliwą stosy ryb, któremi zamierzają napełnić swoje półmiski *wigiliowe*; gdy nasze modne i niemodne gosposie, dobre i niedobre matki, ładne i nieładne żony, wysilają się w pomysłach nad urządzeniem biesiady *gwiazdkowéj* i trwonią oszczędnie uzbierane grosze na podarki dla mężów, dla dzieci i dla przyjaciół domu; gdy każdy cukiernik, piekarz i kupiec korzenny zachwala w „Kuryerze“ swoje cukry, ciasta i bakalie, a rój różnobarwnych supplikantów mozoli się nad ułożeniem powinszowań dla srébro-dajnych ofiar noworocznego zwyczaju:—w téj gwarnéj chwili, gdy wszyscy się tu ruszają, jak maryonetki w kolendowych szopkach, zamierzamy wystąpić po zarogatki Warszawy, i spójrzawszy okiem serca na pokrytą śniegiem pierś matki i karmicielki naszéj, odgadnąć co się tam dzieje pod błogosławionym dachem braci naszych wieśniaków....

Już to każde święto, każdy obyczaj narodowy, solenniéj od nas obchodzą wieśniacy. Któż z nas, urodzonych pod wiejską strzechą, lub spokrewniony z rodzinami obywateli ziemskich, nie pamięta téj radosnéj i świątecznéj atmosfery, jaka otacza wszystkich uczestników zgromadzonych na obchód jednéj z takich uroczystości? Któż, wyrwany z tamtego ich koła, siedząc przy sztywnych i skąpych biesiadkach miejskich, nie zatęskni do tych twarzy jaśniejących szczerością rodzinną, do tych dworców, których gościnne ściany rozstępują się ną przybycie gościa?...

Jednakże z pomiędzy wszystkich zwyczajów narodowych, które na wsi obchodzą uroczyście i suto, najwięcéj podobno waży obchód wigilii Bożego Narodzenia. Zwykle wtedy stoły obsiada licznie zgromadzona familia, opłatkiem łamią się z domownikami, a kobiéty, które wszystkie tradycye rodzinne przechowują w sercach, nieraz przy rozłamaniu opłatka wręce przyjazne, dzielą się i łzą serdeczną....

I nie dziw że taka pamiątkowa uroczystość, w sercach uczciwych budzi rozrzewnienie. Któż z nas, co szanujemy dawne przodków zwyczaje i wspólnemu służymy Bogu, nie czuje że jest to chwila łącząca nietylko ręce nasze, lecz i serca świętym węzłem duchowego braterstwa; któż nie pomyśli, że ta biesiada wspólna jest symbolem jedności, że te ryby wigiliowe podobne są tamtym *siedmiorgu*, któremi Zbawiciel świata nakarmił łaknące rzesze.

Jednakże ta rzewna i uroczysta strona wigiliowéj biesiady dopełnia się i ożywia drugą jeszcze; bo niecierpliwe gromadki dzieci oczekują wtedy na przybycie dobroczynnego *Elechrysta*, i z burzliwą radością witają jego smaczne dary.

Ten *Elechryst*, oświecony jasno i obwieszony hojnie, byłby nam bardzo sympatycznym gościem, gdyby nie jego cudzoziemskie miano. Bo wreszcie, nie wiemy dlaczego tak obelżono po niemiecku naszę poczciwą mazowiecką choinę? Jak gdybyśmy potrzebowali pożyczać wyrazu na określenie jakiegobądź uczucia lub pamiątki rodzinnéj. Lecz niestety! nie piérwszy to i nie ostatni przykład naszéj czysto-polskiéj skłonności do niemcomanii.

W wigilią Bożego Narodzenia, doświadczony myśliwiec wiejski zaraz od świtu wychodzi lub wyjeżdża na polowanie. Jeżeli od północy spadł śnieg świeży, to *śliczna ponowa* pozwala mu wytropić ślady biédnego zająca i objechać go sankami w tajemniczéj *kotlinie*; jeżeli *golo*, trzeba założyć knieję i puścić psy, a w każdym razie trzeba koniecznie powrócić do domu z łupem, bo szczęśliwe lub niepomyślne polowanie w wigilią Bożego Narodzenia, jest nieochybną wróżbą na rok cały!!... Do takiéj wyprawy myśliwskiéj czepiają się niekiedy i młodzi; studenci nawet, przybyli do domu na święta, domagają się w niéj udziału. Wtedy to stary, doświadczony myśliwiec czuje się generalissymusem téj kompanii i nielitościwie tyranizuje swoich młodych rekrutów.

Ale najważniejsze obowiązki dnia tego ciążą na głowie gospodyni domu. Musi ona rozdwoić się pomiędzy gości i służbę. Niech Bóg uchowa, ażeby tradycyjna liczba potraw wiliowych miała być pomyloną, lub żeby przy stole zasiadło *trzynastu* biesiadników! Biegając ustawicznie między bawialnią, spiżarnią i kuchnią, potrafi ona jak duch dobroczynny czuwać nad wszystkiém i wszystkimi; wystarczy jéj nawet na słodki uśmiech dla męża niecierpliwego z głodu, na uścisk dla synów, którym i długa nieobecność w macierzyńskim domu, i pokaźnie świecące u mundurków guziki dają prawo do téj czułości. I ta niewiasta wiejska, to szlachetne i cierpliwe bóstwo domowe, nie zachwieje się, nie zwątpi, nie ustanie w trudach, bo tak pojęła swoje życie, bo je na progu tego domu ofiarowała dla szczęścia rodziny, dla opieki nad czeladzią.

Gdybyż któréj z naszych zfrancuziałych i wybielonych pół-dam lub pół-magnatek, przyszła chęć zmierzyć swe siły z siłami takiéj szczéro-polskiéj niewia-

sty?... Niestety! przeszkodziłby jéj przedewszystkiém, jak złéj tanecznicy ów fartuch biały, którym okryćby trzeba rozdętą na krynolinie suknię. I słusznie! bo i jakże tu takiéj superfinowéj elegantce, takiéj eterycznéj i nerwowéj istocie, oblec się w prozaiczny fartuch, ów symbol folwarczny, którego żadna wielmożna ani dystyngowana pani nie użyje tu nigdy.

Ogromna, niesłychana różnica panuje między dawniéj a dziś obchodzonemi w obywatelskich domach zabawami. Przed kilkunastą latami, nawet przy wigilii, téj pamiątkowéj i pół-religijnéj uczcie, gospodarz domu nie omieszkał spoić swoich biesiadników, i miał sobie za najświętszy obowiązek posadzić ich następnie przy zielonym stoliku, aby w towarzystwie *diabełka* przepędzili noc, w któréj niegdyś przyszedł na świat Syn Boży... Dzisiaj już zaginął taki obyczaj. Wpływ obywateli, ukształconych sercem i głową, skupienie się pojedynczych ludzi w ognisku zebrań towarzystwa rolniczego, szlachetna emulacya na drodze pracy i uczciwego przemysłu, rozjaśniły nawet ciemniejsze intelligencye. Dziś nasi ziemianie czują całą godność obywatelstwa i całą wagę obowiązków przywiązanych do tego stopnia. Zmiana ta wprawdzie przywodzi do rozpaczy handlujących zbożem po miasteczkach lichwiarzy, zasmuca właścicieli winiarni i okrywa wyrazem melancholii szlachetne lica jarmarkowych szulerów, lecz... cieszy się z niéj rola praojczysta, wdzięczna że jéj łono co rok bujniejszym okrywa się plonem; błogosławi ją lud rolniczy, bo wodzy rządów we wsi już dzisiaj nie dzierżą najemne ręce niemieckich doktorów... okowity! A i my dziękujmy Bogu za tę odmianę, bo dziś, biorąc pióro do ręki, maczamy je śmiało w najczystszéj krwi naszego serca, bo czujemy się w zaszczycie, pisząc dla ludzi, którzy potrafią ocenić i naszę pracę, i zasady, którzy odróżnią słowo ogrzane ogniem szczeréj miłości dla rodzinnego świata, od szychowego blichtru i czczéj, napuszonéj gadaniny.

A teraz pozwólcie nam, czytelnicy, ozwać się już wprost do was. W chwili gdy przesyłamy wam te wyrazy, zasiadacie do pamiątkowej uczty rodzinnéj... Ręce wasze łączą się, przełamując biały chléb pojednania i życzeń serdecznych. Pozwólcież i nam cieszyć się nadzieją, że ufność którą mamy w was i którą nam okazaliście tak hojnie w początkach pracy naszéj około tego pisma, że ta ufność będzie opłatkiem wzajemnego szacunku, którym przełamujemy się z wami w téj uroczystéj chwili.

Dzień dzisiejszy jest świętem rodzinném.... Każdy dzisiaj w swojém zamyka się kółku, każdy zapomina o sprawach łączących go z powszedniém życiem i tęskni duchem do tych wyniosłych sfer miłości i ofiary, któréj najwyższym symbolem jest krzyż i to ubogie sianko *betleemskiéj* stajenki, którego okruchami posypano dziś stoły biesiadujących. Chwilę taką obieramy do złożenia wam życzeń: abyście, połączone dzisiaj przy łamaniu chleba pamiątek, ręce zespolili ku wspólnéj pracy, ku podniesieniu z moralnego upadku ubogiego ludu, nad którym opiekę Bóg wam poruczył. Wigilia przyjścia na świat Zbawiciela ubogich i upadłych jest rocznicą ich święta, jest dla nich gałązką nadziei, jedną z tych, któremi rzesze zasypywały drogę wjeżdżającemu do Jerozolimy Chrystusowi.

W krótce już skona rok stary.—Był on świadkiem waszych prac uczciwych. Nowy, może przyjacielem, może wrogiem wam będzie. Wspierajcież się wzajemnie. Co do nas, silni ufnością waszą, będziemy z energią i miłością uprawiać daléj tę wdzięczną niwę rodzinnego słowa, na którą i wy garść ziarn współczucia rzuciliście.

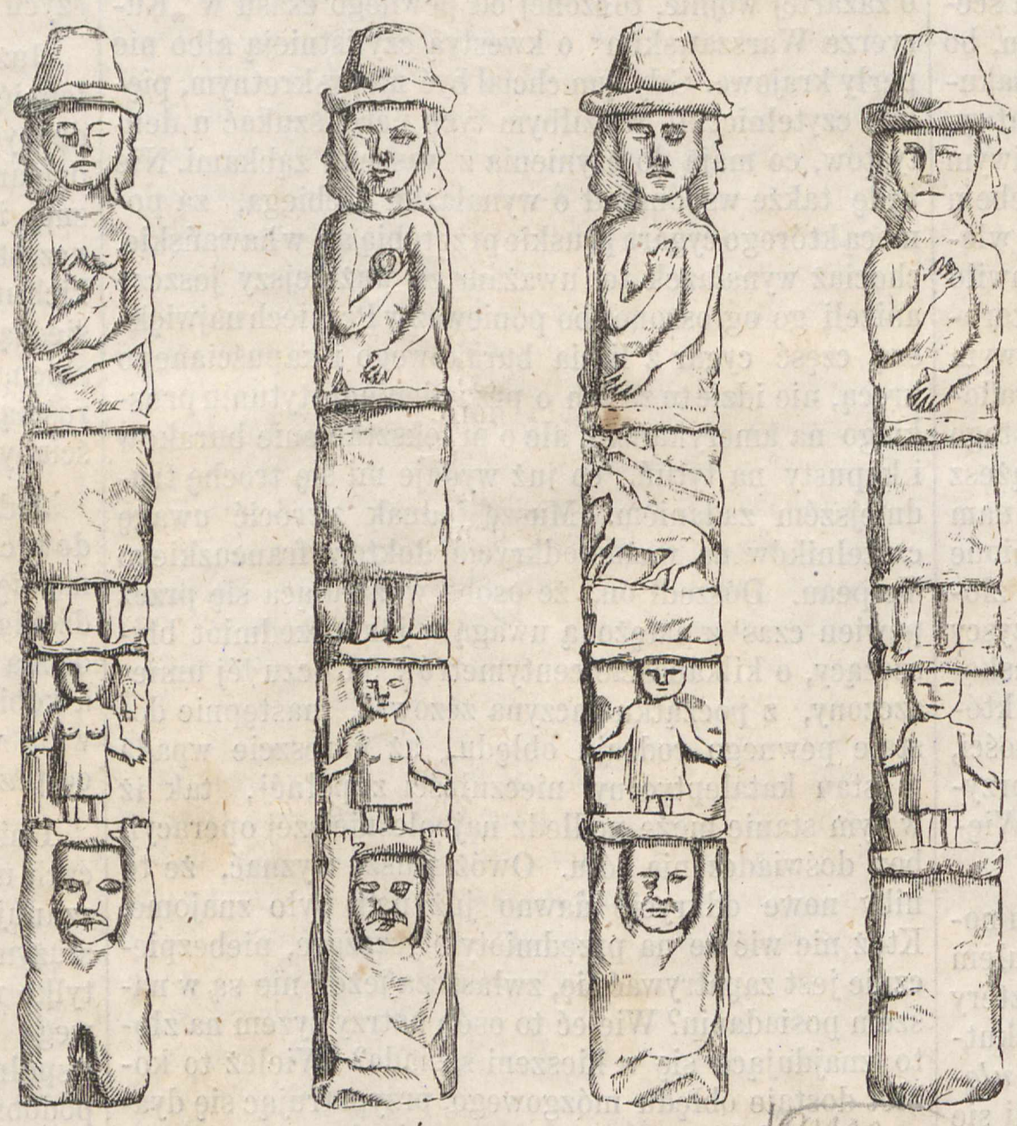

ŚWIATOWID.

ŚWIATOWID. (*)

Zkąd te grzmoty i te wiry?
Wśród srébrzystéj gwiazd zamieci,
Przez ciemnice i szafiry,
Przez płonących sfer miljony,
Przez pienistą światów toń,—
Kolosalny, nieścigniony,
A radosny, skrząco-oki,
Nad burzami we mgle leci,
Leci biały jak obłoki,
Leci grzmiący jak potoki,
Koń!

Mléczna droga, niby grzywa,
Z jego szyi światłem spływa;
Wieczność w swych otchłaniach śpiąca,
Gdy ją rumak w locie trąca,
W złote wzbija się tumany....
Cztéry słońca, jak podkowy,
Grzmią po drodze jutrzenkowéj,
Rubinami nabijanéj.
A na końcu czółnkiem chwały,
Z orlich puchów uprzędzony,
Cudnie świéci czaprak biały.
Któż na białym tym rumaku,
Któż na białym tym czapraku,
Odbierając sfer pokłony,
Pędzi wśród zwikłanych dróg,
Po nieskończoności szlaku?
Bóg!

Jak sperlone śniegiem liście,
Jak księżyca pożar blady,
Jak ogromne wodospady,
Jak gołębi szumny rój,
Tak owiewa go srébrzyście,
Strój.

W jego jasnéj lewéj dłoni,
Pieniąc się od białych strug
Niebiańskiego tego miodu,
Którego cudowna władza
Jedną kropelką odmładza
Siły człowieczego rodu,
Srébrny, wielki, lśni i dzwoni
Róg!

Przy tym rogu, przy tym zdroju,
Zkąd wypływa czar pokoju,
Jak przy kwiecie uplot węży,
Jako przy łabędziu kruk,
W prawém ręku bożka, cięży
Łuk!

Z jego piersi, nastrojonéj
Na skalę wszystkich stuleci,
Brzmi muzyka tajemnicza,
Któréj nie słyszą miljony,
Tylko mędrcy i poeci.
A nad jego orlą szyją,
Cztéry cudowne oblicza
Tak ogromném światłem biją,
Że choć leci wśród ciemnicy,
Gdzieby słońca czuły trwogę,
Nie trwoży się cztérolicy,
Sam rozświeca sobie drogę!
Z ośmiu źrenic widzącego,
Nakształt gromów, nakształt kłosów,
Nakształt rozgorzałych dzid,
Spójrzenia w łono niebiosów,
Tak przeszywające biegą
Że Słowianie mu olbrzymie,
Najolbrzymsze dali imię:
Wid!

Nie ma tak pochmurnych ciemnic,
Nie ma tak cichéj mogiły,
Nie ma tak wiernych tajemnic,
Nie ma takich gęstych krat,
Coby przed nim pyłek skryły.
Jak niezmienność jest głęboka,
Jak nieskończoność szeroka,
Jak nieśmiertelność wysoka,
On ogarnia, błyskiem oka,
Świat!

Świat widzący! Światowidzie!
Ten, co na hełmie ze złota
Światłą mądrość ma jak pióro,

(*) Jest to ustęp z poematu pod nazwą „Miłość bogów,“ osnutego na podaniach rugijskich.

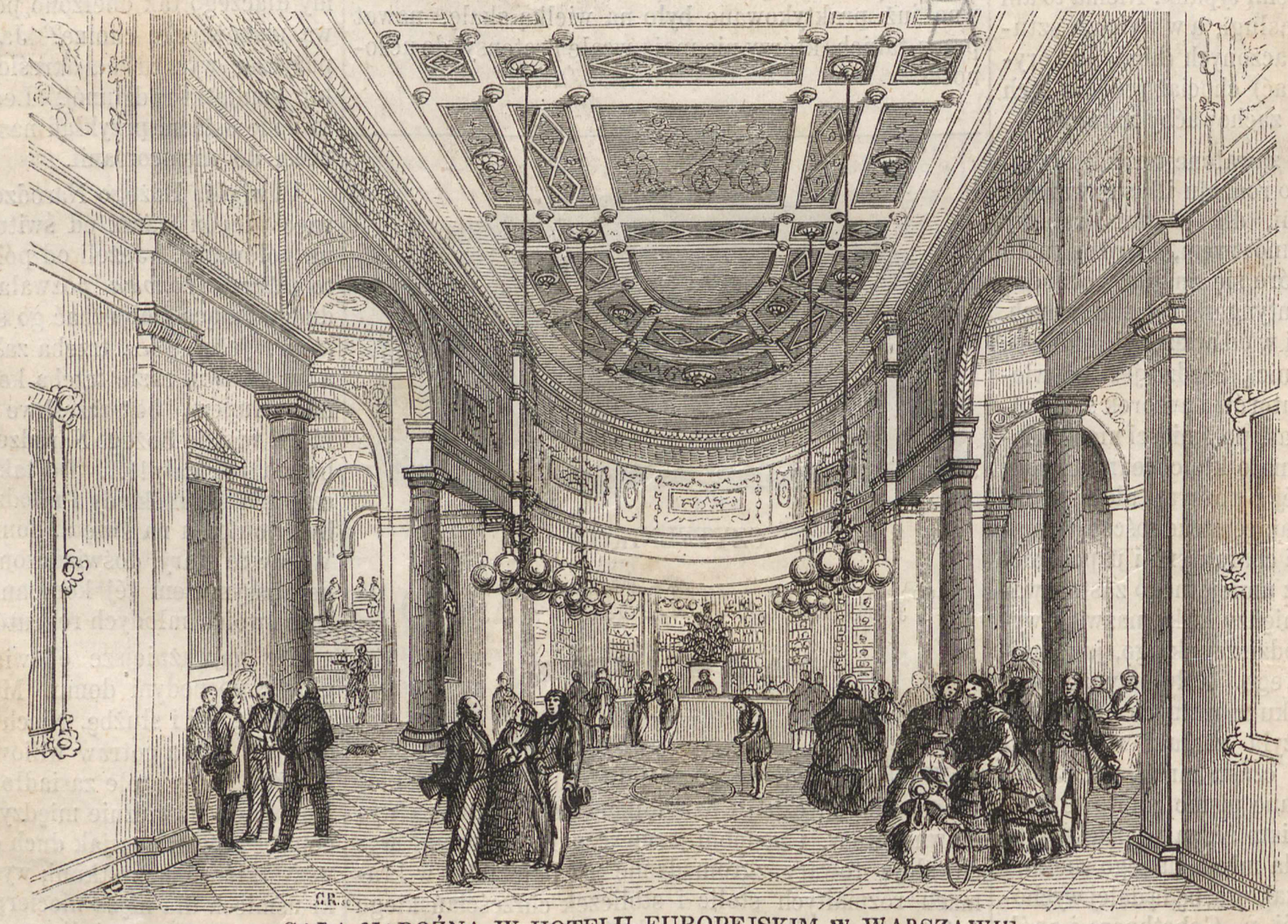

SALA NAROŻNA W HOTELU EUROPEJSKIM W WARSZAWIE.

Niby paź za tobą idzie,
A wygląda jak twój cień.
Dzień!

Owinięta błędów chmurą,
Strzelająca z gwiazd jak z proc,
Oh! na widok twój się miota,
Noc!

Więc co wieczór, gdy noc blada,
Rozczesawszy srébrne włosy,
Opanować chce niebiosy,
Cztéro-czoły, ośmio-oki,
Na białego konia wsiada,
Goni.... ona leci drżąca....
On ją gna błyskami stali,
Na niebieskiéj drogi szczyt;
Ztamtąd pod widnokres strąca...
Aż na jéj zsiniałe zwłoki,
Jak grobowy kamień, zwali
Świt.

Jednak ona, choć zraniona,
Silną jest, umrzéć nie może,
Rozbija się w swéj mogile...
Nim wieczorne spłoną zorze,
Rozwala ją, wstaje w sile,
I walczy o światów tron!
Lecz przyjdzie takie zaranie,
Po którém noc już nie wstanie,
I z nią razem skona
Skon!

Gdy się dwie komety trącą,
Gdy się wzburzą oceany,
Gdy pożar dłonią iskrzącą
W czerwień maluje obłoki,
Gdy gniewnych orłów gromada
Walkę wypowié sokołom,
Gdy więdnie kwiat nadłamany,
Cztéro-czoły, ośmio-oki
Na białego konia wsiada,
Leci, leci... aż na wir
Wpół-obłąkanéj przyrody,
Zlewa miody, balsam zgody,
I nakazuje żywiołom
Mir.

Gdy naród wyda w ucisku
Jęk, jako Baltyk głęboki,
Gdy się na pobojowisku
Krwawi krogulcza biesiada,
Cztéro-czoły, ośmio-oki
Na białego konia wsiada,
Chyży jak śmierci godzina,
Pomiędzy dwa wojska wpada,
I niechybny łuk napina,
I odpędza gnębiciela;
A oswobodzony lud,
Woła w szaleństwie wesela:
„Cud!“

A kiedy wszystko ukoi,
Wszystkie więzy porozplata,
Na modréj stolicy swojéj
Siada u wierzchołków świata.
A wtedy ogrom natury,
Co się u stóp jego pieni,
Ludzie, co przed nim schyleni,
Nie śmieją źrenicy wznieść,
I młodszych bogów drużyna,
Która tęczą go opina,
Nucą potrójnemi chóry:
„Cześć“!..

Deotyma.

PRZYPISEK.

Z wielu opisów posągu Światowida, jego czci i rozlicznych świątnic, najdokładniejszym jest opis Saxona Grammatyka; ten w XIV księdze swojéj „Kroniki duńskiej“, określiwszy obszernie położenie i bogactwa miasta Arkony na wyspie Rugii, oraz świątynię, w któréj Rugianie cześć oddawali Światowidowi, o jego posągu mówi:

„Niezmierny był w kościele bałwan, wielkością swoją ciała ludzkiego wzrost wszelki przechodzący; miał on 4 głowy.“

„W prawéj ręce trzymał róg, różnego gatunku kruszcem wysadzony, który kapłan corocznie miodem nalewał, w lewéj zaś trzymał łuk.“

„Niedaleko od posągu było położone wędzidło jego i siodło“—„oraz miecz nadzwyczajnéj wielkości.“—„Toż bożyszcze, w wojsku narodowém trzysta koni i jeźdźców swoich szczególnych miało; od tych nabyta wszelka zdobycz, kapłanowi straży oddawaną była.“—„Prócz tego, osobnego konia siwego, to bóstwo własnego miało; na tym koniu, wedle zdania Rugianów, Światowid miał walczyć z nieprzyjaciółmi obrządków swojéj wiary.“

SALA NAROŻNA

W HOTELU EUROPEJSKIM

W WARSZAWIE.

Hotel europejski, odsłaniając w bieżącym roku najważniejszą część swoję nowo wzniesioną, dozwala już nam domyslać się okazałéj swéj całości i nieznanego dotąd u nas, a nawet i za granicą niezwykłego ogromu. Jak téż w całości swéj, tak i w częściach rozwija on wytrwały zamysł prześcignienia wszystkich w podobnym rodzaju zakładów naszéj stolicy. Dowodem świéżym jest otworzona w tych dniach w pomienionym gmachu cukiernia.

Artystyczna ważność architektonicznego jéj ozdobienia upoważnia nas do kilku uwag; bo nie samą wielkością jedynie swych rozmiarów, ani téż galanteryjnym głównie odznacza się przepychem.

Troje wielkich odrzwi prowadzą do środkowéj części wielkiéj sali, oddzielonéj od dwóch bocznych ustępów arkadami, wspartemi na marmurowych kolumnach. W ustępie lewym umieszczone obszerne schody marmurowe, prowadzą do czytelni i sali bilardowéj. Na bogatym gzymsie spoczywa wspaniały plafon, w potężne i głębokie strojny kassetony, a ożywiony trzema obrazami. Podział tego plafonu, odpowiadając logicznie podziałowi ścian otaczających, stanowi całość sali jednolitą i harmonijną, pełną rozmaitości i prostoty.

Przy wejściu nie olśniewa nas błyskotliwy hałas drobnostkowych ozdób, w jakie zwykły stroić się sale podobnego przeznaczenia; prostota i szerokość podziałów, pełność i wydatność form, spokojnie i jasno rozwija się przed okiem widza, bez gwałtownego wrażenia i efemerycznego zachwytu. Mimowolnie przypominają się wspaniałe wnętrza rzymskich i genueńskich pałaców. Zapewne że sala ta mogłaby niemało jeszcze zyskać na efekcie, gdyby tak plafon jak i ściany wzbogacone były stosownem złoceniem; a co już konieczna, to zapełnienie cztérech nisz posągami, któreby niezmiernie salę ożywiły.

P. H. Marconi, który tylą już ważnemi dziełami przyozdobił stolicę naszę, nowy tu stawił dowód, że styl klassyczny da się nagiąć do potrzeb i wymagań naszego czasu, i że niesłusznie wyłączonym został wszędzie z wnętrzów dzisiejszych budowli, przyznaniem mu jedynie stosowności w zewnętrznej gmachów ozdobie.

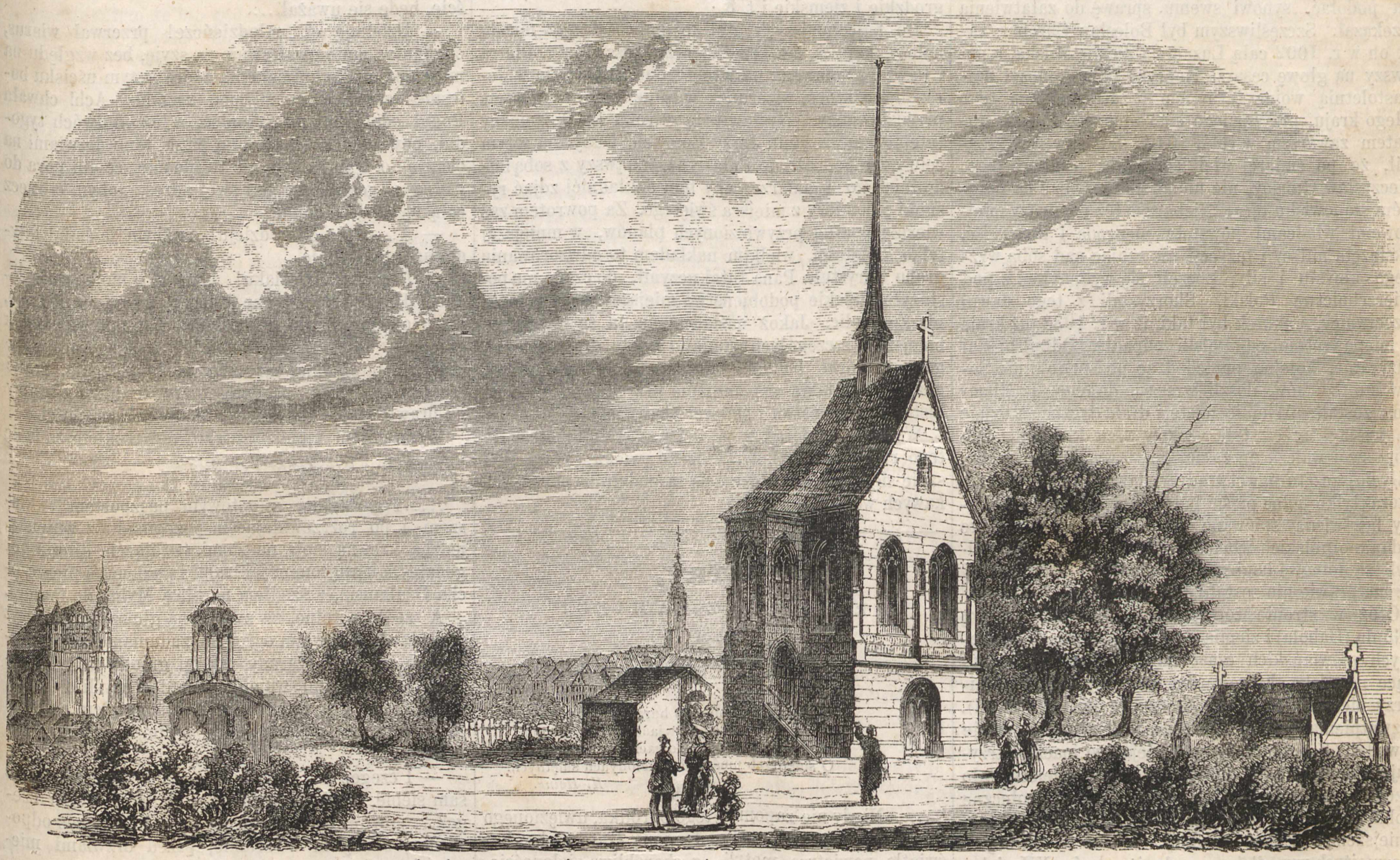

KOŚCIÓŁ Św. KRZYŻA Z GROBEM Św. W ZGORZELICACH (GOERLITZ).

KAPLICA Św. KRZYŻA Z GROBEM Św.

W ZGORZELICACH (GÖRLITZ).

Na granicy dzisiejszéj Saksonii i Prus leży mały zakątek prastaréj ziemi Serbów Łużycan, czyli Lutocian, teraz Górną Luzacyą zwany, którego piérwotna historya ściśle się z nami łączy. Ziemia ta bowiem była niegdyś cząstką państwa polskiego za Mieczysława I i Bolesława Chrobrego, a przedtém jeszcze i następnie miała swoich władców z plemienia naszego, szeroko dziedziny swoje rozpościerających dopóty, dopóki polityka sąsiadów ztąmtąd ich nie wyparła, lub zupełnie zniszczyła. Już na początku X wieku, Serbowie Latocianie po lewéj stronie Łaby (Elby) zamieszkali, stracili swoję niezależność, kiedy inni, osiedli po prawéj stronie téjże rzeki, to jest w tak zwanéj Ziemi Milskiéj, jeszcze paręset lat oprzéć się wpływowi Niemców zdołali. Nieraz oni w zapasach z nieprzyjaciołmi szukali ratunku od Polski, a kiedy w roku 963, przyciśnieni od Sasów, udali się o pomoc do Mieczysława księcia polskiego, monarcha nasz wnet pospieszył na ich wezwanie, i stoczył uporczywą bitwę z smutnéj pamięci margrabią Geronem, najzaciętszym wrogiem Serbów, ale gdy w końcu nie mógł mu podołać, synowi swemu sprawę do załatwienia przekazał. Szczęśliwszym był Bolesław Chrobry; zajął on w r. 1002 całą Luzacyą i Ziemię Milską, a pobiwszy na głowę cesarza Henryka II, zakończył piętnastoletnią wojnę tryumfem i zatrzymaniem tego całego kraju, przyznanego jako własność Polski, traktatem zawartym w roku 1017. Los zawistny zrządził, że po śmierci wielkiego króla, następca jego, Mieczysław Gnuśny, nie umiał się utrzymać na potężném stanowisku ojca. Niebawem téż pomiędzy miejscowemi władcami powstała niezgoda i nienawiść, a książęta milscy i łużyccy, nie czując nad sobą wyższego umysłu i siły, poczęli się wyłamywać z pod zwierzchnictwa Polski. Skorzystali z tego dawni przeciwnicy, a skutek był taki, iż w r. 1033 już kraje te niepowrotnie od Polski odpadły. Odtąd biedni Łużycanie, kolejno przechodząc pod panowanie Sasów lub Czechów, doszli wreszcie do tego, iż Niemcami zostali. Wielkie zaiste i dramatyczne są dzieje téj krainy, przez tyle wieków w ciężkich zapasach o byt swój walczącéj, zanim czas i wypadki nie zgładziły do szczętu nawet tradycyi dawnego stanu rzeczy. A teraz tylko jedne pieśni ludowe, gdzieniegdzie w okolicy bez wiedzy śpiéwane, zachowały jeszcze mgliste podanie o polskich władcach, którzy tu panowali i walczyli za domowe bogi swéj słowiańskiéj braci; więcéj téż nic prawie nie zostało.

Otóż w stronie téj, pomiędzy rzekami Sprzewą a Goplą (Habola) i ziemią Budyszyńską leżącéj, za dawnych słowiańskich czasów były powiaty różne noszące nazwiska, które razem wzięte zyskały u kronikarzy niemieckich miano Zgorzelan (Brandenburgii). Bezwątpienia miasto Zgorzelec ztąd nazwisko swoje wywodzi. Kronikarze jednak miejscowi inaczéj utrzymują. Są, powiadają, dowody, iż na tém miejscu stało przedtém miasto Drzewianów (*Dautzen*), stołeczne osobnego powiatu tegoż nazwiska, które było najznaczniejszém w Ziemi milskiéj. Miasto to tak często z rozmaitych wypadków gorzało, iż w końcu XII wieku, kiedy się raz do szczętu spaliło, książę panujący Sobiesław, odbudowawszy je na nowo i murami umocowawszy, dawne nazwisko zarzucił, i na pamiątkę pogorzeli, Zgorzelcem przezwał. Cóżkolwiek bądź, to pewna, iż miasto w roku 1302 otrzymało prawo niemieckie, a w roku 1346, wraz z pięcią innemi grodami łużyckiemi: Budyszynem (*Bautzen*), Lubowem (*Lobau*), Kamieńcem (*Kamenz*), Choczebusem (*Kottbus*) i Lubniową (*Lübenau*), tworzyło związek znany pod nazwiskiem sześciu miast łużyckich (*Die lausitzer sechs Städte*), które wcześnie zasiedlone przez Niemców, miały poniekąd odrębny od reszty kraju charakter i najprędzéj piérwotne swoje pochodzenie straciły.

Dalsze téż dzieje Zgorzelic już zupełnie są obce naszéj historyi. W roku 1377 wyniesione od cesarza Karola IV na stolicę osobnego księztwa, zburzone w czasie wojen z Hussytami w r. 1429, odbudowane i silnie ufortyfikowane w r. 1474. W epoce 30-letniéj wojny zajmowane kolejno, w roku 1623, przez Wallonów, Szwedów i wojska cesarskie, zdobyte szturmem w r. 1633 przez Wallensteina i znowu odebrane przez Szwedów, wytrzymało długie i ciężkie oblężenie w r. 1641, które dobrze się dało we znaki całemu miastu.

Za drugiéj wojny szwedzkiéj, Zgorzelec kilkakrotnie był główną kwaterą Karola XII, zaś w siedmioletniéj wojnie niemało także ucierpiał. Pod jego to murami stoczona była krwawa bitwa w dniu 7 września 1757 roku, pomiędzy Austryakami i Prusakami, w któréj ci ostatni zwyciężyli. Tu nakoniec w roku 1813 cesarz Napoleon często miewał swoję główną kwaterę, i ztąd ruszył na pamiętną bitwę pod Lipskiem.

Dziś miasto to należy do regencyi lignickiej, jest stołecznem powiatu tegoż nazwiska, i liczy w ogóle 19,700 mieszkańców. Dotąd dawnemi murami otoczone, ma trzy przedmieścia, szerokie ulice, piękne przechadzki, place i ogrody, 11 bram, 8 kościołów, pomiędzy któremi najznakomitszy jest kościół św. Piotra i Pawła, oraz starożytny ratusz. Pałac rządowy, gdzie przedtém była giełda, kilka szpitali, jedno gimnazyum z biblioteką zawierającą 14,000 tomów i 200 rękopisów. Są tu towarzystwa naukowe: tak zwane Górnej Luzacyi, posiadające własną bibliotekę z 30000 tomów złożoną, oraz szacowne rękopisma, zbiory starożytności i gabinet numizmatyczny, towarzystwo nauk przyrodzonych, tudzież biblijne. Jest tu resursa, teatr, dwa arsenały, liczne fabryki i zakłady przemysłowe. Prowadzi znaczny handel, posiada sądy grodzkie i ziemskie i t. d.

Do najcelniejszych atoli osobliwości tego miasta należy kaplica św. krzyża, przy kościele św. Piotra i Pawła, zbudowana na wzór grobu Zbawiciela w Jerozolimie, któréj wizerunek w niniejszym drzeworycie przedstawiamy. Wystawił ją w roku 1489 zamożny tutejszy mieszczanin Jerzy Emerich. Odbył on w tym celu dwie podróże do Palestyny, wziąwszy z sobą budowniczego i malarza, aby tém dokładniéj zdjąć rysunki i pomiary z miejsca świętego. Za powrotem zaś wiernie podług przywiezionych planów, w mniejszéj tylko objętości, wielkim nakładem to odwzorowanie grobu Chrystusa Pana tutaj uczynił, do czego mu posłużyło niejakie podobieństwo miejscowości i położenia Zgorzelic. Jakoż naśladowane tu są w najdrobniejszych szczegółach pamiątki święte, drogi, ścieżki, góry, pagórki, budynki, drzewa i kamienie nawet, gdzie tylko jakie wspomnienie przywiązane było do historyi męczeństwa i śmierci Zbawiciela.

Wszystko to dotąd w całości pozostało i należy do tego rodzaju zabytków, któremi wieki średnie słusznie się szczycą a które dziś są podziwem pobożnych kawych wędrowców.

ASTRY,

RYSUNEK Z PAMIĘCI

przez

LUDWIKA BRZOZOWSKIEGO.

Był czas, że śniłem o burzach namiętnych,
O cudnych lokach, o wiankach myrtowych,
O słodkich ustach, słowach piołunowych,
O smętnych pieśniach i melodyach smętnych!
H. Heine.

.....Nigdy nie zapomnę tego ogródka, uwięzionego miejskiemi murami, pod zadymioną szatą nieba: bez światła, powietrza, motyli—z chorobliwą zielonością, z cudnemi astrami.....

.....Nigdy nie zapomnę téj dziewczyny, co mi raz, niby ptaszek w klatce umajonéj sałatą, szczebiotała w tym ogródku cały wieczór jesienny, z bledziuchną twarzyczką, z cudnemi lokami.....

Sen o niéj chyba z życiem się rozwieje!

Są chwile w których mózg, albo, jeśli wolicie, uprzywilejowane serce, posiada obrazową chwytliwość blaszek Daguerra. W chwilach tych, ten mózg, czy to serce bywa przejęte wilgocią tęsknoty lub żalu, tak samo jak blaszki Daguerra parą jodu lub bromu. I wtedy promienie ułudy z szybkością słonecznych promieni odwzorowywują na niém obrazy osób, miejsc, przedmiotów, które po zahartowaniu we łzach, jak daguerrotypy w słonéj wodzie, już nigdy nie blakną, nie nikną. Napróżno je nieraz usiłuje zdruzgotać rozpacz, zatrzéć wzgarda!—Ogródek i dziewczyna—to moje daguerrotypy. Dostały mi się przypadkiem!

I.

Dwa lata temu, na jesieni, w wigilią wyjazdu z kraju, gdym wchodził do biura francuzkiego konsulatu po wizę paszportową, jakiś jegomość, w zapiętym szczelnie surducie tytuniowéj barwy, zatrzymał mnie przed samemi drzwiami za rękę, i krzywiąc dziwacznie, zapewne do wdzięcznego uśmiechu, wargi przecięte, zapytał dokąd jadę.

— Za granicę, odpowiedziałem lakonicznie.

— Za granicę? powtórzył jegomość i zamyślił się na chwilę. Objaśniłeś mnie waść nielada. Hm! a czyby nie można wiedzieć do jakiego kraju, powiadam?

— Do Francyi, proszę asana dobrodzieja, biorąc za klamkę, rzekłem z przekąsem, bo mi jakoś niemile przyzwyczajone do *pana* uszy, załechtał *waść*.

— Zapewne do Paryża?—spytał znów jegomość.

Już miałem, zniecierpliwiony, zbyć go gniewną i stanowczą odpowiedzią, gdy niespodziewanie spostrzegłem na jego piersiach kilka wypłowiałych wstążeczek, wyzierających z pod klap tytuniowego surduta, a między temi jednę legii. W momencie gniéw mój ustąpił przed wstydem: ręka mimowoli sięgnęła do kapelusza, oczy spuściły się na lakierowane nosy trzewików, i stojąc z odkrytą głową, rzekłem zmięszany.

— Tak, panie dobrodzieju! Jutro, jako stypendysta, uczyć się wyjeżdżam do Paryża, i jeżeli pan dobrodziéj, jak wnosić mogę z jego zapytań, ma jaki list, przesyłkę lub interes do załatwienia w tém mieście, będę się uważał....

— Dziękuję ci, młodzieńcze! przerwał wiarus, obejmując mnie gwałtownie za szyję, bez względu na moje angielskie kołnierzyki, które w tym uścisku bolesnie zatrzeszczały mi pod uszami.—Ach! chwała Bogu! odetchnąłem nakoniec; a już od dwóch tygodni, powiadam tobie, poluję przed temi drzwiami na okazyą do Paryża. No, ale tu nie miejsce ani pora do gawędy: gdybyś mi dał swój adres, tobym ci rzecz całą wyjaśnił w domu.

— A! panie dobrodzieju! czyżbym ja śmiał fatygować go do siebie.

— Poczciwy dzieciaku! idzie ci o moje stare pedały. Ho! ho! chodzą one jeszcze, powiadam, jędrnie, jak naoliwione kurki u karabina. No, ale kiedyś tak grzeczny, to cię proszę do siebie, do mego ogródka; caceczko powiadam, caceczko, warte widzenia. Trafić łatwo: róg Mylnéj, na dole, piérwsze drzwi z bramy na prawo; major Przysucha, do usług waszmości.

Wymieniłem moje nazwisko, przyrzekłem że będę wieczorem i pożegnałem majora.

.....Popołudniu, z gotowym paszportem w kieszeni i po rozrzewniającém pożegnaniu z wujenką, jedyną krewną moją na ziemi, trwającém długie pół godziny, a uświęconém jéj łzami i wyciem jéj pieszczocha Dżalmusia,—szedłem na ulicę Mylną do majora.

A szedłem wolno, ze zwieszoną głową, jak emeryt w niedzielę po saskim ogrodzie, zadumany nad rozwiązaniem środowéj szarady, tak mi gniotły czoło, obłożone pocałunkami wujenki, smutne myśli o jutrze, o kraju, który za kilkanaście godzin miałem opuścić. A przecie nie pozostawiłem w nim ani Laury, ani Piladesa.....

— I czegoż mi smutno?... zapytałem nareszcie sam siebie, dochodząc do rogu Mylnéj—czego? czego?... powtórzyłem raz drugi i trzeci, i... bez odpowiedzi, stanąłem w bramie, przed drzwiami mieszkania majora.

Snać wszyscy ludzie, nie wyłączając nawet drukowanych dzieci Bajrona, w przeddzień wyjazdu z kraju dostają mózgowego kataru. Taki aksyomat znalazłem dopiéro w przedpokoju na usprawiedliwienie mego smutku, i z uśmiechem wszedłem do niewielkiego saloniku, przystrojonego bukietami kwiatów, niby panieńska sypialnia. Nie zastawszy w nim nikogo, przez chwilę porównywałem jego zalotną fizyognomią, z szorstkiém, poszramioném ospą i stalą obliczem majora. Wszystko mnie w nim dziwiło: kwiaty, fortepian, nóty, nawet zwierciadła i misternie haftowane firanki. Nie mogłem pojąć, jakim cudem żołnierz, od dziecka zapewne wychowany w obozie, a na starość, niby w liść tytuniowy, owinięty w spłowiały surdut, potrafił z takim wdziękiem urządzić sobie mieszkanie. Myśli moje, nawykłe w długiéj samotności do bezczynnego wałęsania się pod czaszką, już zaczęły korzystać ze zdarzonéj sposobności i wzięły się do wysnuwania najdziwaczniejszych wniosków i przypuszczeń o życiu wiarusa, gdy nagle przerwały im oczy, zatrzymane na oszklonych drzwiach ogródka, widokiem nachylonéj nad krzakiem astrów dziewczyny.

Ogródek był zaledwie tak duży, jak blat od jadalnego stołu, i zapewne patrzącym się nań z drugiego

piętra, musiał przypominać owe stoły staroświeckie, mozaikowane w różnobarwne gzygzaki i kratki. Szare plecy trzech wysokich kamienic i parkan od podwórza osłonięty dzikiém winem, nadawały mu kształt spaczonego czworoboku; przekwitła lewkonia, rezeda i balsamina, resztkami wdzięków, co się oparły zimowym pocałunkom jesiennego wiatru, stroiły jego ścieżynki i prawie w oczach żółkły z zazdrości o pieszczoty, jakiemi śliczna ich opiekunka darzyła świéżo rozwite astry....

Przyczajony na kozetce stojącéj tuż przy drzwiach oszklonych, które do połowy osłaniały rozpięte po szybach groszki i powoje, wpatrywałem się w tę niemą scenę zazdrości między kwiatami o.... pieszczoty anioła. I stopniowo żółknąca rezeda, lewkonia i balsamina zaczęły godzić mię ze światem. Moralne ułomności bliźnich moich rodzaju żeńskiego, malały na widok wad w najcudowniejszych stworzeniach, w wonnych dzieciach ziemi....

Ogródek przypomniał mi owe mieszczańskie saloniki, napełniające się zazwyczaj raz w tydzień przeróżnéj barwy, zapachu i wieku kwiatami; owe poniedziałkowe, środowe i sobotnie wieczorki, na których przeziewałem ze sto godzin w życiu, bawiąc się obserwowaniem zawiści, dumy, próżności i innych ujemnych przymiotów panieńskich, żółknących i płonących na jesiennych lub majowych obliczach sędzianek, radczanek, naczelnikówien.

Twarz dziewczęcia pieszczącego astry, ocieniona lokami, zdała mi się nieobcą. Zacząłem więc szukać jéj w karnawałowych wspomnieniach, i wkrótce znalazłem na jednym z zeszłorocznych wieczorków u kassyerostwa Czumskich. Tańczyła wtedy kontredansa; przypomniałem sobie, z Ignacym Dławińskim, odznaczającéj się powierzchowności młodzieńcem, którego mój przyjaciel Władysław, zapatrujący się na ludzi powieściowo, robił przedemną bohaterem książkowym, tak czarnym jak farba drukarska, tak nikczemnym jak warszawska bibuła. A kiedym mu oświadczył, iż się dziwię, że taki Dławiński może bywać w poczciwych kółeczkach mieszczańskich, odpowiedział mi sentencyonalnie:

— Czyliż nie posiada zaszczytnych kwalifikacyj od natury i.... krawca na *dobrze widzianego* kawalera? Czyż nie jest od nas przystojniejszy i lepiéj ubrany?

Gorzki ten kommunał połknąłem wówczas jak chininę ze wstrętem. A w piersiach zrobiło mi się duszno, i.... po chwili westchnąłem tylko, aby przez usta, niby przzz lufcik do szpitalnéj sali, wpuścić świéżego powietrza.

Smutno!... smutno!....

..... Tak tedy, patrząc w ogródek na śliczną dziewczynę, na wzgardzone i kochane przez nią kwiaty, zbudziłem przeszłość i zadumałem się nad nią poważnie. Ale niebawem z bladych wspomnień wyroiły się myśli cudaczne, i jako myszy po pustéj spiżarni, zaczęły biegać mi po głowie.

Przeszłość! przeszłość — ta urocza skarbnica świętych pamiątek dla wielu, ta miłosno-łzawo-grobowa urna natchnień dla wierszokletów, dla 26-letniego młodzieńca, wydawała się tylko kufrem napełnionym zużytą garderobą, do którego właśnie zaglądałem zrana, pakując się na drogę.

Słusznie przez starożytnych człowiek nazwany został *mikrokosmem*, posiada bowiem wszystko w sobie, nawet tandetę ze znoszonemi przez życie rupieciami.

... Ale otóż zostałem spostrzeżony.

Panienka, spłoniona, zbliżyła się ku drzwiom.

Powstałem spiesznie z kozetki, i wchodząc do ogródka, rzekłem, niby głęboko zajęty losem kwiatów jesiennych:

— Szczęśliwe astry, szczęśliwe!

Jednocześnie w furtce od podwórza zagrzmiał głos majora:

— Jak się masz, młodzieńcze! A to mi parolista, powiadam! Nie dzisiejszy, a nasz panie, jak się należy! mówił, miętosząc mię w objęciach. Nie dzisiejszy, powiadam ci Floreczko! Ale, ale, czyście się już poznali? dodał, zwracając mowę do panienki. Na co otrzymawszy przeczące poruszenie główką, wymienił moje nazwisko i z żołnierska poklepał po ramieniu.

Przypomniałem Florci zeszłoroczny wieczór u kassyerostwa, a wiarus tymczasem zaczął mi prawić o swojém caceczku-ogródku: jakim sposobem od właściciela domu wynajął kawałek podwórza, jak się to naprawował, zanim własnemi rękami powydobywał bruk z tego kawałka, odgrodził od reszty podwórzą, wyrównał, skopał ziemię... słowem zrobił caceczko.

— A to wszystko, kończył z czołem rozjaśnioném promieniami zachodzącego słońca, co się odbijały od blaszanych dachów sąsiednich kamienic, poszło mi na zdrowie i na uciechę Florci, która tak lubi kwiaty, powiadam, jakby nie była moją synowiczką, a pogańską Florą. Cha, cha, cha! kontent z konceptu roześmiał się starowina. Da Bóg doczekać św. Jana, a nawet, kto wié? może Nowego roku, będziemy mieli trochę więcéj ziemi, powietrza i słońca. Wiész Florciu, że interes z panem Ignacym Dławińskim o kupno Wulki już prawie stanowczo skończony.

— Skończony? zawołało dziewczę, klasnąwszy w ręce, będziemy mieszkać na wsi!

Niewiem dlaczego, nazwisko wymówione przez majora mrowiem przebiegło po mnie.

— Robię, powiadam, świetny interes, mówił daléj wiarus, jakby mnie znał oddawna, z miną uradowanego dziecka, na myśl o kolendzie. Przychodzę za trzydzieści tysięcy do wioski, mającéj przeszło cztérnaście włók rozległości, w pszennéj glebie, i wodę, i lasy, i ryby, i grzyby, powiadam!

— A to jakim cudem? odezwałem się zdziwiony.

— Ho! ho! w tém głowa pana Ignacego, interes brylantowy, powiadam, i basta! Za przyjście do własności daję na ręce p. Ignacego trzydzieści tysięcy. Późniéj długi spłacą się lasem; z oszczędności emerytalnych, pomału, zaprowadzą się inwentarze; summy małoletnich poczekają, i tam daléj, powiadam, i tam daléj... Głowa w tém nie moja, a pana Ignacego. Mądry to chłopak, powiadam. Hę, co? prawda Floreczko?

Panienka pobiegła do astrów.

— Filut dziewczyna, powiadam, roześmiał się major. Ale pozwolisz młodzieńcze, dodał otwierając drzwi oszklone, że właśnie o tym interesie pójdę jeszcze zrobić mały dopisek w liście do brata.

... Zostaliśmy we dwoje ...

....Późno w noc wyszedłem od majora, rozmarzony szczebiotaniem dziewczyny, z paką listów, które nazajutrz o brzasku, daleko — daleko od Mylnéj ulicy, miałem powieźć do brata wiarusa, a ojca Florci.

Ludzie szczęśliwi, wierzący, zadowoleni w sobie, oddziaływają na mnie tak pokrzepiająco, tak dobroczynnie, jak stary węgrzyn na zgrzybiałych starców. I sądzę, że nieznałbym nigdy smutku i tęsknoty, gdyby o ludzi szczęśliwych nie było równie trudno, jak o stare wino.

Wyszedłszy więc od majora, po serdecznéj gawędzie o bojach i kwiatach, czułem się lżejszym i prawie wolnym zupełnie od tego bajronowego kataru, jaki z myślą o podróży spadł mi był na półkule mózgowe. Przez jakiś czas idąc, roiłem jak młodzieniec puszczający się z rodzinnéj zagrody w świat szeroki, z patentem szkolnym pod pachą. Ale, po chwili, gdym zaczął dla Florci cudne z astrów stawiać pałace, a te mi raz po raz burzył Dławiński, niby bąk misterne siatki, zbudowane przez pająka dla muchy, dawny smutek opanował mnie na nowo.

— Precz, precz marzenia! Florcia go kocha, mówiłem do siebie, i ma gust wcale niezły. Człowiek przystojny, zdolny, zamożny i nie tak straszny zapewne, jak go maluje Władysław. Ba! a jeżeli?... Zastanowiłem się na chwilę. Żal mi dziewczyny, żal starego żołnierza!

I zacząłem się niepokoić coraz bardziéj losem dwojga istot, które widziałem po raz piérwszy w życiu, dwojga istot szczęśliwych!...

Bohater Władysława, z przenikliwém spojrzeniem, rzymską brodą i miedzianą cerą, natrętnie stawał mi przed oczami. Jego pośrednictwo w tak korzystném kupnie wioski dla majora, zdało mi się podejrzaném. Postanowiłem zbudzić Władysława i powierzyć mu moje obawy, gruntowane na tém jedynie, com słyszał od niego o Dławińskim. Jakoż nie namyślając się długo, skręciłem na ulicę Bednarską, do mieszkania przyjaciela.

Władysław znał majora oddawna. Kiedym mu opowiedział moje spotkanie z wiarusem, poobiednią wizytę w jego ogródku i doznane wrażenia.... a nakoniec wspomniał o interesie z Dławińskim, zawołał z pewnym wyrazem zadowolenia na ruchliwéj twarzy:

— A co? nie mówiłem ci, że to myśliwiec na dobrodusznych. A co? widzisz niedowiarku? nie mówiłem, że go się strzedz należy?

— Mówiłeś, mój bracie, rzekłem z uśmiechem, ależ dotąd jeszcze nic pewnego: kto wié czy nasze obawy nie są urojone? Być może iż Dławiński dlatego stręczy tak korzystne kupno majorowi, aby powiększyć posag Florci dla siebie....

— Nie znasz ludzi, przerwał mi z gniewem Władysław, patrzysz na nich przez gazę. Łudzisz się cnotą, wiarą, miłością, jak sielankowy poeta. Powiadam ci, że Dławiński jest myśliwcem na kieszenie dobrodusznych, że wytropił majora i celuje do niego na pewno; ale zjé licha czy trafi! Dam ja mu radę; będę pilnował wiarusa. Znam Dławińskiego oddawna: niebezpieczny to ptaszek, od dziecka oswojony z występkiem, gdyż będąc na opiece u swojego wuja, intendenta więzienia, wychował się pod jednym dachem ze złoczyńcami. Czytałem nawet w rękopiśmie jego uniwersytecką rozprawę, pod tytułem: „Krótka ręka sprawiedliwości,“ straszną w założeniu, pełną najsubtelniejszych paradoksów, dowodzącą niemożności ukarania, podług istniejących instytucyj, rozumnego złoczyńcy, oszusta, zbrodniarza.

Władysław, wpadłszy raz na swój ulubiony temat, do północy prawił mi o Dławińskim, popisując się ze znajomością ludzi, ze studyami charakterów i jaskrawemi poglądami na społeczność. Wedle zwyczaju, z gimnastyczną wprawą przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, mięszając łzy z sarkazmem, gorączkowy zapał mrożąc trywialnym niejednokrotnie dowcipem... Resztę nocy, aż do chwili mego odjazdu na kolej żelazną, przegawędziliśmy we dwójkę o takich rzeczach, co to się nie dadzą zeszyć nicią handlarskiego rozsądku i wywiesić na tandetę kupczącego dziś, niestety! wszystkiém świata, a które silniéj może niźli pocałunek dziewczyny rozżarzają umysł młodzieńczy!...

Niegdyś, podczas takich gawęd, słońce nam zawdy wschodziło zawcześnie!.... *(Dokończ. w nast. Nr.)*

Do dzisiejszego numeru „Tygodnika“ dołączamy, w osobnéj odbitce, drugą odezwę p. Apollinarego Kątskiego, dyrektora instytutu muzycznego warszawskiego. Popierając chętnie każdy zamiar szlachetny, mający na celu pożytek całego kraju, oświadczamy gotowość przyjmowania wszelkich ofiar na rzecz instytutu muzycznego, pod adresem: „Do redakcyi Tygodnika Illustrowanego, w Warszawie. ulica Krakowskie Przedmieście, nr. 391,“ i w czasie właściwym zdamy z nich sprawę w szpaltach naszego pisma.

Panu Włodzimirzowi G. w Kielczewie. Życzeniu Pańskiemu w téj chwili zadosyć uczynić nie możemy, list bowiem Jego, z podanemi matami, nie dał się odszukać. Jeżeli jednak zechcesz Pan przesłać je nam powtórnie, zajmiemy się bliższym ich rozbiorem.

Panu Ap. K. w Mohilewie nad Dnieprem. Z poezyj Pańskiéj chętnie zrobilibyśmy użytek, gdybyś dołączyć nam chciał rysunek miejscowości.

Panu Feliksowi F. w Warszawie. Ostatnie dwa rebusy dobrze są ułożone i w czasie właściwym umieszczone będą w „Tygodniku“. Prosimy Pana o zgłoszenie się osobiste do redakcyi, każdodziennie między godziną 5 i 7 wieczorem.

Panu Kajetanowi B. w Pinczowie. Nadesłanych rebusów, pomimo starannego ich układu, zamieścić nie możemy. Z wymienionych przez Pana materyałów wszystkie prawie mamy już pod ręką; szczerze za to prosimy o rzeczy charakteru miejscowego.

UNIWERSYTET W DORPACIE.

Dorpat albo Jurjew (po czuchońsku Tartulina) leży w odległości 47 mil od Petersburga i 32 mil od Rygi, w teraźniejszéj gubernii liflandzkiéj, nad rzeką spławną Embach, łączącą dwa jeziora Pejpus, (Czudzkie) i Wercerw.

Od czasu swego założenia, to jest od XI wieku, Dorpat, wraz z prowincyą w któréj leży, zwaną dawniéj Inflantami, różnego doświadczał losu i zostawał kolejno pod władzą kawalerów mieczowych, Polski, Szwecyi i Rossyi.

Jeszcze w r. 1630 Gustaw Adolf kazał założyć w Dorpacie gimnazyum, które we dwa lata późniéj zamienione zostało na uniwersytet. Z początku jednak istnienie tego wyższego zakładu naukowego było wą-

tłe i nie głośne, a nawet w czasie wojny Karola XII z Piotrem W. zupełnie przerwaném zostało. Dopiéro Cesarz Paweł powziął myśl przywrócenia uniwersytetu dorpackiego, która spełnioną została wybudowaniem nowego na ten cel gmachu i urządzeniem przy nim niezbędnych pomocniczych zakładów, w sposób nie zostawiający nic do życzenia, tak pod względem ozdoby zewnętrznéj, jakotéż dogodnego rozkładu całości.

Wewnętrzne urządzenie gmachu uniwersyteckiego obecnie jest następujące. W korpusie na 1ém piętrze znajduje się sala na dwa piętra wysoka. Pod jedną ze ścian stoi biała, ozdobna katedra, służąca zwykle za mównicę w czasie wielkich uroczystości, po bokach zaś, także biało malowane kolumny, podpierają dosyć obszerne galerye, z drewnianą, starożytnéj rzeźby balustradą. Oprócz sali, w głównym gmachu znajdują się: na dole gabinet chemiczny i laboratoryum, oraz gabinet fizyczny, wraz z należącemi do każdego z nich auditoryami. Gabinet fizyczny obficie jest zaopatrzony w machiny i przyrządy różne. Na piérwszém piętrze, oprócz gabinetu mineralogicznego i muzeum sztuk pięknych, w którém można widziéć kilka dobrze zachowanyeh mumij i dosyć znaczny zbiór numizmatów, znajduje się także gabinet zoologiczny i auditoryum nazywane *philosophicum*. Na drugiém piętrze mieści się zarząd i sąd uniwersytecki, obszerne auditoryum medyczne, gabinet gospodarczo-techniczny, z należącém doń niewielkiém auditoryum i laboratoryum, oraz dwa prawne auditorya: *grosses Juridicum i kleines Juridicum*. Nakoniec pod strychem znajdują się studenckie karceresy.

Z opisu tego łatwo spostrzedz, iż nie wszystkie gabinety i auditorya znajdują się w głównym gmachu, rzeczywiście bowiem niektóre z nich pomieszczone są w zupełnie oddzielnych budynkach. I tak: gabinet farmaceutyczny, wraz z laboratoryum, urządzony jest w domu Koehlera nad brzegiem rzeki Embach; zbiór preparatów anatomicznych i patologicznych, równie jak znajdujące się przy nim auditoryum, mieści się razem z salą anatomiczną w osobnym domu, auditoryum botaniki w głównéj oranżeryi ogrodu botanicznego. Na bibliotekę uniwersytecką wyrestaurowano część zwalisk klasztoru, albo raczéj opactwa katolickiego na Dombergu i tam ją pomieszczono. Biblioteka ta posiada do 100,000 tomów i kilka tysięcy rękopisów, mapp i t. p.; po peterburgskiéj więc bibliotece jest najznakomitszym w Rossyi księgozbiorem. Pod względem wewnętrznéj wartości dzieł, oddziały: teologiczny, starożytno-filologiczny, medyczny i prawny najlepiéj są zaopatrzone.

Inne należące do uniwersytetu zakłady naukowe są: obserwatoryum, posiadające olbrzymi refraktor; klinika, odznaczająca się porządném utrzymaniem

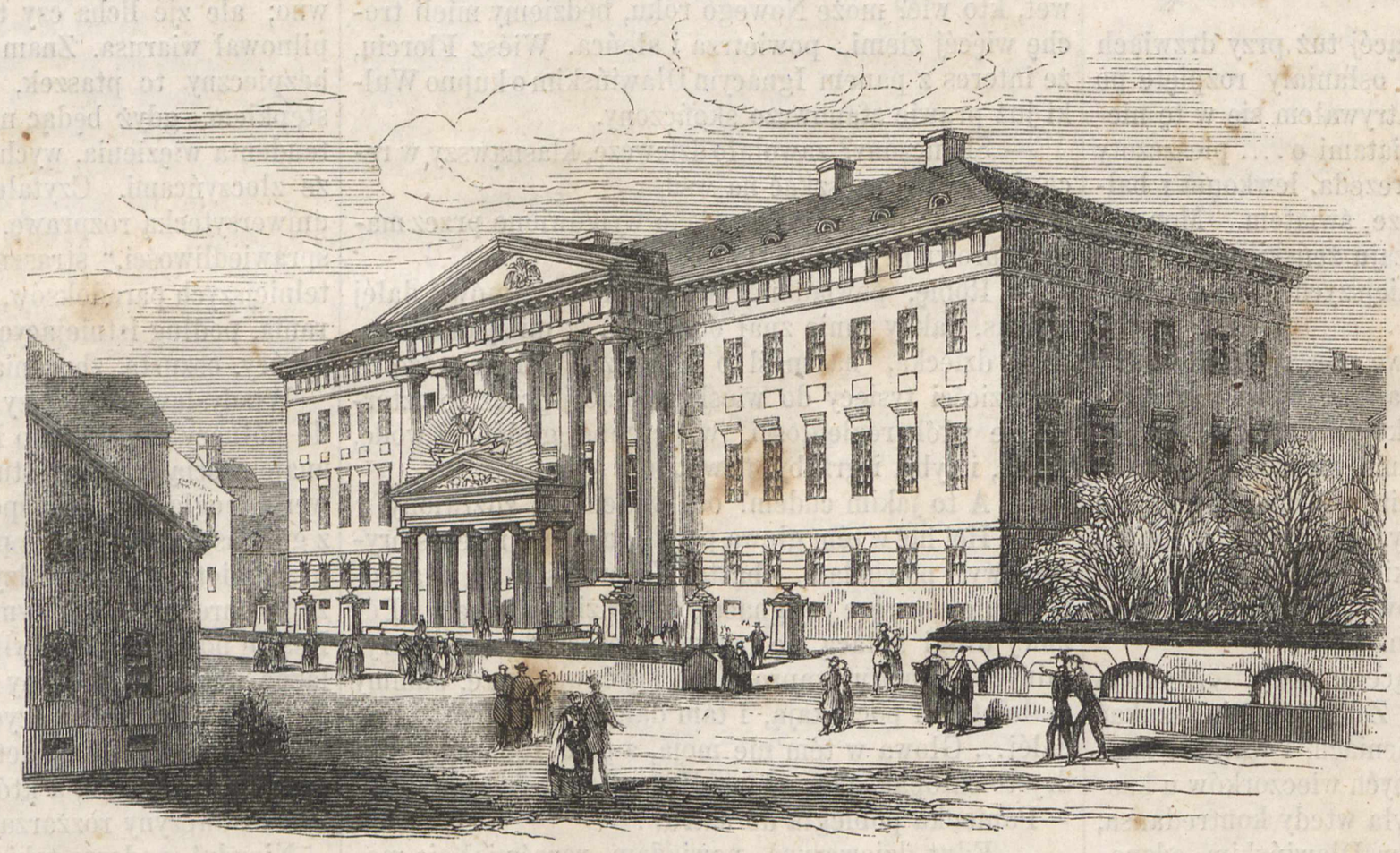

UNIWERSYTET W DORPACIE.

sal i skuteczną dla chorych pomocą; sala anatomiczna i nakoniec ogród botaniczny.

Główną cechą odróżniającą uniwersytet dorpacki od innych tego rodzaju zakładów w Rossyi, jest używany w nim do wykładu, oprócz przedmiotów ściśle rossyjskich, język niemiecki i wewnętrzne jego, na wzór niemieckich podobnego rodzaju zakładów, urządzenie.

Rok uniwersytecki składa się z dwóch semestrów (półroczy), piérwszy semestr jest od 13 stycznia do 12 czerwca, drugi od 20 lipca do 12 grudnia. Egzamina wstępne zdają się z początkiem każdego semestru, z kursów gimnazyalnych, w niemieckim lub francuzkim języku. Każdemu nowo przyjętemu studentowi, wręcza rektor uniwersytetu matrykułę, czyli zbiór praw i obowiązków stanu studenckiego w języku łacińskim, i podaje rękę, na znak zapewnienia, iż jeżeli tylko student ściśle stosować się zechce do objętych nią przepisów, doznawać będzie w każdym razie opieki zwierzchności uniwersyteckiéj. Prócz płac od rządu, professorowie pobierają nadto od każdego studenta, przez pośrednictwo kassy uniwersyteckiéj, opłaty za słuchanie wykładanych przez nich przedmiotów.

W r. 1827 uniwersytet obchodził 25-letni, a w r. 1850 50-letni swój jubileusz. Ostatni trwał przez dni trzy: 11, 12 i 13 grudnia. Piérwszego dnia rektor ówczesny, Haffner, wraz z innymi członkami uniwersytetu, przyjmował powinszowania od różnych stanów i osób. Drugiego dnia processya, złożona ze wszystkich członków uniwersytetu, urzędników i nauczycieli, średnich i niższych zakładów naukowych znajdujących się w Dorpacie, udała się z rana z głównego uniwersyteckiego gmachu do kościoła św. Jana. Po wysłuchaniu tam nabożeństwa, wróciła do sali uniwersyteckiéj, gdzie rektor powiedział piękną mowę, poczém nastąpił wystawny obiad, a wieczorem *Fackelzug* czyli pochód z pochodniami, który z 500 złożony pochodni, odbyli studenci, poprzedzeni przez białą chorągiew, z napisem: „*Vivat Academia*“. Pochód ten zatrzymał się przed głównym korpusem gmachu uniwersyteckiego, prześpiewał chórem studencką pieśń „Gaudeamus igitur“ i udał się następnie na plac przed ratuszem, gdzie wszystkie pochodnie, w jeden stos złożone, spalone zostały. Nakoniec trzeciego dnia rano professor Maedler czytał naukową rozprawę, a wieczorem dorpaccy amatorzy i amatorki muzyki dali bezpłatny koncert instrumentalny i wokalny w sali uniwersyteckiéj.

Ze wszystkich wydziałów uniwersytetu dorpackiego medycyna najwięcéj ma zwolenników i słuchaczy. Przyczyny tego szukać należy nietylko w ogólnéj dążności ludzi teraźniejszego wieku, do zapewnienia sobie w przyszłości jak najkorzystniejszego pod względem materyalnym stanowiska, ale nadto w kwitnącym stanie tego wydziału, którego katedry zajmują ludzie wysokiéj nauki i głośnych imion medycy. Jakkolwiek mniejsza niż na medycynę, znaczna jednak bardzo liczba studentów uczęszcza na wydziały teologiczny i nauk przyrodzonych, oraz na oddział dyplomatyczny wydziału prawnego. Wydział tylko historyczno-filologiczny mało ma zwolenników. Znać nauki tego rodzaju najmniéj w świecie popłacają.

SZACHY.

ZADANIE IX.

(*A. Petrow*).

Białe zaczynają i dają mata w dziesiątém posunięciu, koniem D 5.

Czarne.

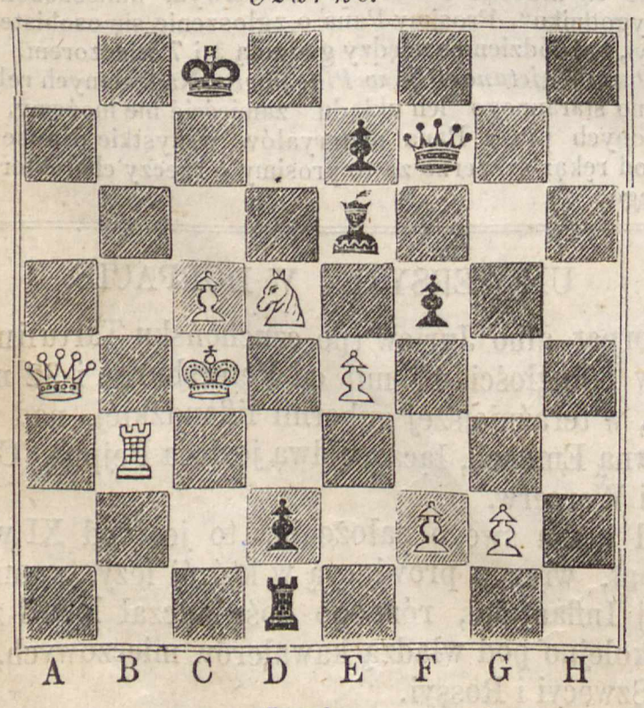

Białe.

Szarada konikowa, umieszczona w numerze 12 „Tygodnika,“ brzmi jak następuje:

Trzecia i druga,
Krótka czy długa,
Czasem do stroju,
Czasem do boju,
A zawsze zdobi.
Drugie i trzecie,
Jak sami wiecie,
Część to bydlęcia,
Dobra z cielęcia,
Gdy się przerobi.
Wszystkich tylko wtedy tknąć,
Kiedy siekać albo rznąć.

(Znaczenie jéj: *Ta-sa-ki*).

W zadaniu téj szarady zaszła pomyłka, gdyż w piérwszym wierszu zamiast: *trzecia i druga*, powinno być: *trzecia i piérwsza*.— Z Warszawy trzy piérwsze rozwiązania nadesłali pp. W. D., F. F. i J. R.— Z prowincyi pp. C. M. z Piotrkowa, A. Z. z Lublina i T. S. z Częstochowy. Wszystkim przeznaczone nagrody zostały doręczone.

REBUS.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 18.

Nie modli się kij wcale, a na pacierzach bywa jednak często.

W Drukarni J. Ungra. —Wolno drukować. — Warszawa dnia 12 (24) grudnia 1859 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.